

Towianistyczna utopia języka. Mistrz jako prawodawca języka

Danuta Sosnowska

parodii. Takiej np., jaką uprawiały „Wiadomości Brukowe”; w „synonimie” *Człowiek słuszny, dostojny, godny, zacny, uczciwy, poczciwy*, gdzie opis znaczenia wyrazów zastąpiono po prostu prezentacją zachowania określanego za ich pomocą człowieka, czytamy:

Człowiek słuszny jest rubaśny, jeździ kareta, choćby za cudze pieniądze, niewiele mówi, ale *sentencjami*, to jest krótko, z pewnością, powagą i miną nakazującą milczenie i wiarę, na nieznanym spogląda nieco wyniośle, a przynajmniej poważnie, ale razem łaskawie i sposobem opiekuńczym; na niższych patrzy z góry, to jest z oznaczeniem zupełnym swojej wyższości i godności, jest zaś pokornym, najniższym sługą i nadskakującym względem wyższych. [...]

Człowiek słuszny powinien grać w *Bostona*, jeżeli wygra, upomina się o pieniądze, jeżeli przegra, nie płaci, bo któżby się u słusznego upomniał?³²

„Semantyka” zupełnie niepoważna oraz dociekania ówczesnych uczonych w różnym stopniu i w sobie właściwy sposób przyczyniały się do utrwalenia kultury i języka, którym mówił naród znajdujący się pod obcą administracją.

Zbigniew Kloch

Towianistyczna utopia języka

Mistrz jako prawodawca języka

„Mówcie mało a mocno” — stało się hasłem towiańczyków, z których każdy — pod przewodnictwem mistrza — miał opanować prawidła nowego języka. Byli przecież apostołami posłanymi na łów. A choć nie posiadali ani bogactw, ani materialnej siły, dzięki odpowiednio użytym wyrazom mieli podbijać świat.

Przykład „działającego słowa” został dany przez Towiańskiego, gdy w 1841 rozpoczął w Paryżu głoszenie misji, ale był to dopiero początek pracy nad stworzeniem właściwej, prawdziwie chrześcijańskiej mowy. Mistrz wierzył, że to zadanie przypadło w udziale Słowianom, zwłaszcza Polakom: „Grecy — powiadał — wzięli słowo inteligencją, Germanie — namiętnością, a tylko Słowianie — duchem i to właśnie gwarantuje powodzenie ich językowego przedsięwzięcia”.¹

Jednak w praktyce zwycięstwo wciąż wydawało się odległe. Brak sukcesów towiańczyków budził w nich poczucie winy, podsycane zresztą

³² „Wiadomości...”, op. cit., s. 89–90.

¹ S. Goszczyński *Dziennik Sprawy Bożej*, oprac. Z. Sudolski, Warszawa 1984, t. 1, s. 227.

przez mistrza. Po klęsce kolejnej „służby z emigracją” jeden z braci twierdził, iż musi w tym tkwić błąd apostołów, którzy — choć różnych już próbowali języków — nie natrafili jeszcze na właściwy. Bowierni (błędne koło często pojawiało się w rozumowaniu uczniów Towiańskiego) gdyby znaleźli odpowiednie wyrazy, musieliby zostać wysłuchani i przyjęci. Skoro nie zostali, *eo ipso* nie znaleźli.²

W przeciwieństwie do Krzysztofa Rutkowskiego nie sędzę więc, by Towiański dążył do świadomego zaciemnienia sensu słowa i rozmycia znaczeń.³ By chciał niepodzielnie objąć władzę nad wyrazem i wedle własnych zachcianek przypisywać mu treści. Choćby ze względów pragmatycznych: wiedział przecież, że jego uczniowie nigdy skutecznie nie przemówią do emigracji, jeśli będą tylko powtarzali słowa — nieświadomie, bez tego żaru, jaki wywołuje przyjęcie cudzych treści za własne, największe prawdy duchowe. A cóż mistrzowi po lingwistycznej sieci, w którą złapał kilkunastu wyznawców, skoro on chciał zostać Napoleonem nowej, odrodzonej Europy.

Jeśli więc ostatecznie język, którego głównym prawodawcą został Towiański, okazał się ciemny, jego pojęcia wieloznaczne, a definicje nieostre, to winę za to ponosił nie tyle mistrz — jakkolwiek w istocie był fatalnym stylistą — co utopijne założenia upragnionej mowy.

W nowym języku miał przecież bez reszty, bez granic wyrazić się duch. Była to próba zrealizowania romantycznych marzeń o słowie przezroczyście dla treści. Próba wyzwolenia się z dręczącego poczucia niekoherencji między doświadczoną w przeżyciu metafizycznym nieskończonością a zawodnym, „skończonym” wyrazem, niezdolnym do przekazania odczutyh treści. Zbyt długo już romantycy skarżyli się na beziłę zakleszczonego we władzy czasu człowieka, który w ułomnych słowach pragnął wyrazić absolut, pragnął przekazać światło objawione w iluminacji. Teraz Towiański jako lekarz duchowy uznał, że może dać im panaceum także na ten ból.

Nowy język zakładał więc tworzenie słów oddających pełnię treści duchowych. Ale zakładał też czytanie tych słów tak przenikliwie, by żaden sens nie umknął uważnemu oku. Mistrz pragnął — w czym nie odbiegał od całej prawie epoki — uczynić ze swych uczniów sprawnych deszyfrantów ukrytyh treści słowa-symbolu. Stąd jego gniewy, gdy wyznawcy, nawet tak wybitni jak Mickiewicz, oblewali egzamin z dekodowania. Stąd też rodzaj presji moralnej, jaka szybko zaczęła odciskać się na towiańczykach, prowokując ich do udawania, że rozumieją ezoteryczne pisma Towiańskiego. Motywem był czasem strach, czasem

² Tamże, s. 258.

³ K. Rutkowski *Braterstwo albo śmierć. Zabijanie Mickiewicza w Kole Bożym*, Paryż 1988.

próżność, czasem chęć sprostania obowiązkom. A wreszcie wiara, że zaiste pojeło się słowa mistrza.

Zadanie, by w przyszłości z dwu słów wydobyć zawartą w nich ideę i nakazany czyn — zderzało się z innym, nie dającym się pogodzić z pierwszym. Oto Towiański oczekiwał, że na drodze duchowej pracy wytworzony zostanie język, w którym w ogóle zniknie przepaść między treścią jawną i ukrytą. Jawne będzie wszystko: każda najsubtelniejsza wiedza duchowa, każda największa tajemnica wyższego świata będzie wylewała się na zewnątrz, nie krępowana przez formę. Kresem tego przedsięwzięcia staowało się nie tyle udoskonalenie języka werbalnego, co zastąpienie go rodzajem pozasłownej komunikacji, w której zasadniczą rolę odgrywała emanacja energii duchowej, ekspresja ciała i twarzy.

Idealna rozmowa nie była, wedle Towiańskiego, wymianą zdań. Wszelkie dyskusje i spory wydawały się mistrzowi i jego wyznawcom straszliwą i zgubną ohydą, znakiem Polski staroszlacheckiej, która nieopanowanym sejmikowaniem doprowadziła do tragedii ojczyzny. Mówić należało wtedy, gdy pewnym się było swej prawdy, a prawda wzywa nie do dyskusji, lecz do posłuszeństwa. Zwłaszcza prawda taka, jak ją rozumieli towiańczycy: jedyna, dana od Boga, wsparta objawieniem. Słowo w Jego imieniu wydane również stawało się nieomyślne i — co przyczyniało się do drażniąco aroganckich zachowań towiańczyków — zwycięskie. Wcześniej czy później musiało pokonać opornych.⁴

Wkrótce zresztą zmonopolizowanie prawdy przestało wynikać wyłącznie z założeń ontologicznych, lecz stało się ideologicznym bezpiecznikiem. Bezwzględne przekonanie o własnej racji miało blokować niepokój i wątpliwości wynikłe z coraz bardziej widocznych klęsk Sprawy. Toteż kiedy pojawiły się pierwsze niepowodzenia, Towiański pouczał Goszczyńskiego, że „aby żyć w prawdzie trzeba się zacietrzewić”. Znaczyło to: „nie słyszeć, nie widzieć nic, co przeciwne jest naszej racji”.⁵

Człowiek przystający na takie założenia stawał się nieznośny dla zwykłych słuchaczy. Zaakceptować mogli go wyłącznie ci, którzy uznali, iż ich wolność nie polega na prawie do przeciwstawiania stanowisku rozmówcy własnego punktu widzenia. Rodzi się natomiast ze zmienności ról: gdy ja „jestem w prawdzie” — ty słuchasz, a kiedy ty dobrniesz do królestwa *veritas*, wówczas „Ja” zmieniam się w pokornego powiernika twych słów. Tylko w tym wypadku apodyktyczność przestawała być odbierana jako zamach na wolność słuchacza.

⁴ Por. *Dziennik Sprawy Bożej*, op. cit., t. 2, s. 233, 236, 238, 247.

⁵ Tamże, s. 278.

„Ja” i „Ty”, występujące w towianistycznej rozmowie, nie były oczywiście tymi, które zwykle uczestniczą w akcie mowy. W tym punkcie ma rację Rutkowski twierdząc, że towianizm doprowadzał do unicestwienia tradycyjnych podmiotów. Pytanie jednak, czemu ta operacja służyła, jakie miały być (podkreślam: miały, a nie były) straty i zyski?

Dla większości towiańczyków zwykłe relacje pomiędzy partnerami konwersacji zostały dostatecznie skompromitowane przez beznadziejne dyskusje polityczne emigrantów. Pokaz kłótności, urazów, niezdrowych ambicji, fanfaronady, głupoty etc. mógł zniechęcić do demokratycznych form rozmowy. Mógł też zniechęcić do „Ja” świadomego swej przeszłości, upodobań, poglądów, a stąd zawsze skłonnego do sporów i trudnego do pogodzenia z innymi partnerami dialogu.

Toteż nie pod wpływem manipulacji, lecz świadomie, przekonani o boleśności, ale i o konieczności tej operacji przystawali towiańczycy na nowe „Ja” i nowe „Ty”: spirytualne, wyzbyte indywidualności, oczyszczone z tego, co dotąd tworzyło osobowość. Wierzano, że w ten sposób stanie się możliwy kontakt bezpośredni, dialog „z ducha do ducha” — głęboki i zgodny.

Z czasem owo „uduchowienie”, równoznaczne z zanegowaniem ludzkiej pamięci, co tak oburzało Kraszińskiego, zaczęło mieć też walor psychotechniczny. Po prostu łatwiej było podjąć jeszcze jedną, beznadziejną akcję nawrócenia szyderczej emigracji, jeśli zapomniało się o jej drwinach i własnej urazie.

Za destrukcją tradycyjnego „Ja” i „Ty” kryła się też romantyczna podejrzliwość wobec kultury i cywilizacji, którą to nieufność Towiański chorobliwie spotęgował. „Zapomnieć o ja swoim i cudzym” — to również ignorować fakt, że mamy do czynienia z rozmówcą wykształconym, czytany. Taki bowiem pierwszy jest do dysput, dywagacji, roztrząsań. Nie bez przyczyny ideałem, także w dziedzinie rozmowy, stał się chłopiek: w nim warstwa kulturowa jest najcieńsza, a lata pańszczyzny przyzwyczyły go do mowy „ewangelicznie” prostej. „Tak” ma za „tak”, „nie” za „nie” i nie pyta jak wykształcony Piłat: „Cóż to jest prawda?”. Postawa słuchania i przyjmowania słowa, jakby wychodziło ono z ust Chrystusa, obowiązywała — przynajmniej w teorii — nie tylko wobec mistrza i „urzędów”, ale także wobec szeregowych członków Koła. Określała ona również sposób włączania się do rozmowy. Jeśli ktoś zapragnął przemówić, to winien podjąć rozmowę w tym punkcie, w którym porzucił ją przedmówca i dalej rozwijać temat gładko, niczym nić ze szpuli. Dzięki temu wielu miało mówić jak jeden, jakby jeden duch ich ożywił. I podobno — z nostalgią wspominał Mickiewicz — na początku to się udawało.

Degenerowanie się towianistycznego języka

Dość szybko okazało się, że ten idealny projekt mowy jest zbyt trudny do realizacji, a jego słabe punkty poczęły decydować o degeneracji języka. Najbardziej brzemiennie w skutkach okazało się wykluczenie dyskusji w chwili, gdy — wraz z postępującą hierarchizacją Koła — utrwalił się podział na tych, którzy mają słuchać i na tych, którym przeznaczone jest mówienie.

Jak już wspominałam, w akcie mowy nie było miejsca na równość i partnerstwo. Założenie, że mówi się w imię absolutnej prawdy, dawało władzę nad słuchaczem. Jego wolność gwarantowana była wyłącznie możliwością, że i on dostąpi chwili, w której prawda przemówi przez jego usta. Skoro podział na „słuchaczy” i „mówców” ustalił się (oczywiście w praktyce, bo w teorii dalej wszystko było możliwe), skoro zakorzeniło się przekonanie o duchach „wyższych” i „niższych”, to również struktury językowe zaczęły uczestniczyć w ograniczaniu wolności podrzędnych członków Koła.

Mickiewicz, odpowiedzialny za wzmocnienie hierarchizacji i kult „urzędu”, ponosił znaczną winę za zamianę języka w „dom niewoli”. Lecz jego restrykcje tłumaczy niepokój o skutki „grzesznego gadulstwa”, a przede wszystkim lęk o nieostrożność uczniów, którzy niekontrolowanymi wypowiedziami ściągali na koło zarzut herezji. Degenerowanie się językowego systemu Koła przyspieszył nieoficjalny zakaz pytania o znaczenia towianistycznych terminów. A właściwie nie tyle zakaz, bo nikt nigdy go nie wypowiedział, co szczególna atmosfera, wymuszająca na braciach choćby udane rozumienie dokonywanej przez Mickiewicza egzegezy pism i listów mistrza.

Tymczasem większość towiańczyków nie pojmowała głoszonych im nauk, nie potrafiła nawet streścić ich sensu, a to prowadziło do bezmyślnego powtarzania zasłyszanych zwrotów i pojęć, coraz bardziej przybierających charakter skrzepów językowych. Na przykład Goszczyński na początku przynależności do Koła komentował wrażenia wywołane przez pisma Towiańskiego: „Raz tylko je słyszałem i dlatego nie mogę ci dać o tem jasnego wyobrażenia. Pojmiesz, że takie słowa działają wprost na ducha, a niełatwo zatrzymują się w umyśle”.⁶

W „umyśle” zatrzymywały się dopiero wówczas, gdy nauczono się ich na pamięć i każdy z towiańczyków musiał dokonać tej sztuki. Nietrudnej w końcu, skoro zasób słów był ubogi, a powtarzano je po wielokroć. Jaka jednak treść kryła się za pojęciami — to może czuł duch, lecz rozum nie rozumiał.

⁶ S. Goszczyński *Listy (1823–1875)*, oprac. S. Pigoń, Kraków 1937, s. 153.

Dopiero po secesji Mickiewicza, kiedy zelżał strach przed nielitościwym egzegetą Towiańskiego, Goszczyński zapragnął zapytać mistrza, co znaczą rozmaite słowa. Wśród nich znalazły się podstawowe dla Sprawy pojęcia. Nie wiedział więc brat Seweryn co to jest „wylew”, „przebicie ciała”, „duch narodu”, „duch emigracji”, „duch Francji”, „punkty zaklęcia” etc. A przecież przez pięć lat tymi słowami mówił, pisał i myślał. I należał w końcu do elity intelektualnej Koła.

Mowa miała być „wylewem”. Szykującym się do apostołowania towiańczykom zakazywano wcześniejszego opracowywania wypowiedzi. Przygotowywali się oni do publicznego wystąpienia praktykując „modlitwę bez idei”, „otworzenie kanału”, tj. odpowiednie ćwiczenia skupienia, kumulowania energii i emocji. „Pasterskie” słowo winno przyjść potem, samo z siebie.

W istocie, choć nie powiedziano tego wprost, chodziło o to, by przez oczyszczoną duszę przemówił Duch święty. Odpowiednią pracą i medytacjami, znanymi z tradycji mistycznych, towiańczyki mieli „wyrobić” w sobie „dar języków”. W ten również sposób pracował Mickiewicz przed wykładami w Collège de France, a efekty, jak wiemy, były wstrząsające.

Taki stosunek do słowa miał swoją tradycję nie tylko w Piśmie świętym. Równie silnie osadzony był w romantyzmie. Wystarczy przykładowo powołać się na Novalisa, który uważał, iż jeśli poeta podda się harmonii bytu, wówczas będzie w stanie wyrazić ją w sposób pełniejszy i doskonalszy niż wówczas, gdy traktując język jako narzędzie zabrnije między wykoncypowane i sztuczne doборы słów. Mówić należało bezwiednie, równie naturalnie jak się oddycha.⁷

Tej koncepcji języka towarzyszyła skrajnie „impresywna” teoria odbioru. Nie do umysłu mówił mistrz, a do ducha, ten zaś winien się pod wpływem słów rozpaścić. Uznawano, że warunkiem zrozumienia wypowiedzi mistrza i jego naśladowców jest — dobra wola. Wystarczyło po prostu „otworzyć swego ducha”, by „siła i nic ognista idąca od mistrza przewlec się mogła”.⁸ Ten język miał za-chwycać, a to czy zostaniemy schwytyani i nanizani na jego ognistą nic zależało wyłącznie od nas.

Możliwe uzurpacje i nadużycia, jakie otwierało powyższe postawienie sprawy, są łatwe do przewidzenia. Warto też zauważyć, że impresywna teoria odbioru pozwalała brać za zrozumienie odpowiednio gorący stan emocjonalny. Goszczyński mógł tak naprawdę nie wiedzieć, co znaczą „przebicie ciała”, ale jeśli po usłyszeniu tych słów czuł dogłębny żal, iż

⁷ Novalis *Uczniowie z Sais*, Warszawa 1984, s. 328.

⁸ S. Goszczyński *Dziennik Sprawy Bożej*, op. cit., t. 2, s. 222.

znowu „materia” wzięła górę nad duchem — czyli „tytuniu” się nie wyrzekł, „napoje rozgrzewające” pijał, „nieczystością cielesną” się zbrukał — to wszystko było w porządku. Żal starczał za rozumienie, uczucie za pojęcie.

Bracia, ufając wywołanym przez słowa Towiańskiego impresjom, podejmowali decyzję i sercem „zrozumiane” wskazówki mistrza próbowali przełożyć na praktykę życia codziennego. Gdy jednak dumni z osiągnięcia, czekali na pochwały — rozlegały się besztania i połajanki: że nie tak, że źle, że wciąż „nie dociągają”.

Można w stworzeniu takiej sytuacji wietrzyć wyrafinowany makiawelizm Towiańskiego, dążącego do ubezwłasnowolnienia wyznawców. Sądzę jednak, że istnieje wyjaśnienie prostsze. Towiański chciał być prorokiem zwycięskim. Kiedy jego misja spotkała się z oporem, nie bardzo wiedział, jak pokonać niedowiarków. Powtarzał swe wezwanie, straszył karami, ponawiał próby nawrócenia wybitnych osobistości, jednak nic więcej uczynić nie mógł czy nie potrafił. Uczniom więc pozostawił realizację zadania, które zainicjował. Sprostać jego wezwaniom można było tylko w jeden sposób: odnosząc sukces. Niestety, osiągnięcia nawet tak potężnych uczniów jak Mickiewicz okazywały się skromne i nietrwałe. Toteż Mistrz, który wierzył, że całemu światu przyniósł posłanie Epoki Nowej, wciąż był nieukontentowany. Nawet realne sukcesy postrzegał tylko jako zapowiedzi przyszłych, wspaniałych zwycięstw. A gdy te nie nadchodziły, czuł narastający gniew.

Teatr słowa

W świecie towiańczyków słowo jako narzędzie komunikacji było silnie związane z ewangelicznym Słowem Żyjącym, Wcielonym. Sens tego ostatniego — zgodnie z dokonaną przez Towiańskiego hermeneutyką chrześcijaństwa — został zmodyfikowany i rozszerzony. Odnosił się nie tylko do Chrystusa, lecz także do Mistrza Andrzeja, a nawet (potencjalnie) do każdego człowieka, który chciał realizować wolę Boga objawianą przez Towiańskiego.

Człowiek miał stać się Słowem. W tym tkwiła jego ekspiacja za winy, a zarazem sens istnienia zarówno indywidualnego, jak i zbiorowego. Cudu odrodzenia zabitego Słowa — uśmierconego nie tylko przez ukrzyżowanie Chrystusa, ale także sformalizowanie chrześcijaństwa, zamianę religii w suchą ideologię i oderwanie wiary od życia — należało dokonać najpierw w sobie.

W minionych wiekach ludzkość przygotowywała się do tego dzieła słuchając Bożego Słowa, a zarazem praktykując duchową czystość. Ale obecnym czasom, twierdził Towiański, to już nie starcza. Świętość, choć-

by największa, lecz wyizolowana z życia, oddana kontemplacjom zamiast działaniu, musiała skończyć się upadkiem i grzechem. Człowiek, który chciał ten stary ideał naśladować, był Słowem martwym: słuchał ewangelicznych nakazów, ale nie potrafił ożywić sobą świata i innych ludzi. Przykład przezwyciężenia tego stanu, zejścia na ziemię i stania się Słowem żyjącym dał, jak sądzili uczniowie, sam Towiański: po objawieniu nie założył jakiejś odosobnionej wspólnoty w odległym i głuchym zakątku Litwy, ale przyjechał do Paryża głosić prawdę emigrantom. I chciał wykrzyczeć ją na cały świat: carowi, papieżowi, królom, żydowskim bankierom i francuskim szewcom. „Nie jest prawda, by pod korcem stała” — mógł zacytować prorok, uzasadniając konieczność powszechnego apostołstwa.

Nawet najofiarniejsze zaangażowanie się w misję głoszenia nowej nauki nie wyczerpywało jednak obowiązków. To był warunek konieczny, lecz niewystarczający. Do podstawowych powinności apostoła należało uczynienie z siebie znaku, żywego dowodu zbawiennych mocy prawdy, scalenia w sobie upowszechnianych nauk z ich praktyką, słowa z czynem. Nikt wówczas nie mógł powiedzieć: „To tylko słowa”, bo istniała odpowiedź: „Oto człowiek”.

Za wzór doskonałej jedności uważany był oczywiście Towiański, a wraz z nasilaniem się sekciarskich cech Koła również jego rodzina. On, oni byli Słowem Żyjącym. A określenie, iż mistrz „wszystko robi w tonie”: naucza, chodzi, tańczy poloneza, spożywa posiłki, było sposobem wyrażenia doskonałej harmonii pomiędzy wiarą i praktyką.

Dojście do podobnego stanu należało do pierwszych obowiązków w Kole. Każdy powinien był stać się Słowem Żyjącym, choć równolegle istniało inne, równie zaszczytne miano: „Żołnierz Słowa Żyjącego”. W nim główny nacisk kładł się nie na własną aktywność i dążenie do przemiany wewnętrznej, lecz ślepe i bezwzględne posłuszeństwo nakazom mistrza. Termin ten upowszechnił się w okresie walki Towiańskiego z Mickiewiczem, ale sygnalizował problem głębszy od konfliktu między mistrzem a wyznawcą.

Pomiędzy „Słowem Żyjącym” jako wzorem dla każdego człowieka a „Żołnierzem Słowa Żyjącego” jako modelem prawowiernego towiańczyka była ta sama sprzeczność, która przejawiała się w koncepcji oparcia powodzenia Sprawy na maksymalnej duchowej aktywności jej wyznawców przy jednoczesnym spętaniu ich swobody. Uczniowie mieli być zarazem wolni i poddani, samodzielni i posłuszni, aktywni i bierni. Sprawa ogłoszona przez Towiańskiego składała się z ciągu takich sprzeczności i to zarówno na poziomie idei, jak i w zderzeniu postulatów z praktyką.

Powróćmy jednak do terminu: Słowo Żyjące. Jego idea wiązała się ściśle

z komunikacją, gdyż Słowo podnosiło godność i obowiązki słowa. Najłatwiej przedstawić to na przykładzie reinterpretacji powołania romantycznego geniusza obcującego z transcendencją. W tradycyjnym ujęciu sam kontakt z Absolutem był wartością najwyższą, a przekazanie tego doświadczenia w poetyckim słowie — najwspanialszym darem ofiarowanym ludziom. Wedle Towiańskiego poprzestanie na tym oznaczało „lechtanie się” niebem, zmienianie transcendencji w przysmaczki. Kto pragnął uniknąć tej zdrożności — traktowanej przez mistrza jako duchowy nierząd — musiał każde natchnienie, każdą myśl otrzymaną z nieba zamienić w praktykę swojego życia. W ten sposób osiągał prawdziwe zrozumienie iluminacji, sprawdzał jej czystość, a wreszcie zyskiwał moralne prawo do upowszechniania objawienia.

Pracowite zamienianie iluminacji na „życie” było antidotum na jeden z podstawowych romantycznych dramatów: ból przeżycia transcendencji, która zawsze umykała człowiekowi, zarówno wtedy, gdy pragnął wcielić ją w słowo, jak i wówczas, gdy siłił się w inny sposób nadać trwałość i ciągłość momentalnemu objawieniu. Towiański otworzył uczniom oczy i pokazał, iż zamiast wynosić z takich chwil gorycz i gniew Mickiewiczowskiego Konrada, mogą wyzwoloną energię zwrócić ku sobie i zużytkować na dokonanie przemiany wewnętrznej.

Ten program był tym bardziej kuszący, że duchowej pracy mistrz umiał nadać sugestywny rozmach i wizyjność. To głównie dzięki owej spirytualnej „horze”, wielowiekowej, utrzymywanej przez metempsychozę orce ducha, Sprawa wydawała się poezją — całą w obrazach i widzeniach. U kresu przeobrażenia się w Słowo zwiastowała niewyobrażalną potęgę: mistrz mówił o sobie, iż jednym wypowiedzianym wyrazem mógłby zatrzymać statek płynący po rzece, uczniowie mieli ruszać góry, stwarzać i unicestwiać światy. Nie tylko w duchu — także w rzeczywistości. Tak jak pochylony nad mapą Napoleon w żołnierskich butach i komunijnym welonie, który przewrócił pół Europy, a gdyby „strzymał duchem”, przeorałby całą ziemię.

W oczekiwaniu na tę potęgę uczniowie ćwiczyli się w prawidłach mowy, jaka przystoi Słowu Żyjącemu. Przede wszystkim odebrano im prawo do zwyczajnej konwersacji. Właściwa rozmowa zawsze dotyczyła Sprawy. Oczywiście miano mówić o niej tak, jak powtarzamy słowa Ewangelii, gdyż każda repetycja niesie w sobie kerygmatyczną moc zbawienia. Ponieważ jednak uczniowie byli jeszcze nie dość uduchowieni, godzono się na pewne kompromisy. Jeśli już muszą rozmawiać o rzeczach nieistotnych — niech to czynią, ale pod warunkiem potraktowania konwersacji jako okazji do ćwiczeń skupienia. Obierzcie temat rozmowy i trwajcie przy nim — pouczał Mickiewicz. Mówcie choćby o psach, lecz dzień cały tylko i wyłącznie o tym.

Na gadułę patrzono nieufnie, podejrzewając go o „loty” ducha, histerię, nieźborność wewnętrzną. Jego pustosłowiu przeciwstawiano słowo skupione, sens skondensowany, wypowiedź związaną w całość jednością idei. Wedle tego wzorca każdy wyraz stawał się, jak mówił Mickiewicz, „przepaścią mądrości”. A na jego hermeneutyce można było strawić wiele lat życia.

Dramat polegał na tym, że owo „skupione” słowo dane było nie dla jałowych studiów, ale jako pobudka do czynu. Zaś wymagania mistrza, by sprawnie odczytywać ezoteryczne treści, wciąż rosły. Po kolejnym nieporozumieniu, kiedy Towiański uznał, że znów nie został pojęty przez uczniów, pytał ich z żalem: jak ma wyglądać przyszłość, jeśli nie są w stanie zrozumieć obfitych i często wysyłanych im pism? Z biegiem czasu skargi na nieporozumienia, przekręcanie jego myśli, stawały się coraz częstsze.

Być może z tego powodu, a także ze względu na mizerne sukcesy apostołskie, Towiański w pewnym momencie zmienił ideę słowa. Przynajmniej w dziedzinie poezji, która miała stać się nową tubą Sprawy, bardziej skuteczną niż wykłady Mickiewicza w Collège de France. Na wieszczą Epoki Nowej namaszczonego najlepszego w tym momencie (Słowacki i Mickiewicz poszli już swoją drogą) poetę w Kole. Ale zadanie postawione Goszczyńskiemu było niewykonalne, choć jego wiersze, dla pięknej formy, przedłożył Towiański nad skądinąd wyżej przez siebie cenione niewiarygodne kulfony poetyckie żony i szwagierki. Życzeniem mistrza było, by Goszczyński słowo uczynił łatwym i przystępnym. Ludzie dość mają tajemnic — twierdził Towiański. Świat został przeciążony abstrakcjami literatów i znużył się rozwiązywaniem ich zagadek. Teraz przyszła pora na podawanie prawdy w sposób jasny i przejrzysty, nie zatrudniający wiele ludzkiej energii. Sama prawda jest już wystarczająco trudna, by jeszcze zwiększać jej komplikacje formą wyrażenia. A człowiek powinien siły obracać na życie wedle podawanych mu praw, nie zaś na przegryzanie się przez literackie ciemności.

Gdy wreszcie po wielu twórczych bólach Goszczyński napisał poemat — o którym sądził, że wyraża idee towianizmu i spotka się z pochwałą mistrza — jego dzieło poddane zostało miazdzącej krytyce. Co znamienne, krytykowano w poemacie to, co wcześniej uznawano za najwyższe zalety słowa. A więc: „kupność”, ściśnięcie treści, kondensację sensu, uczynienie z każdego słowa nabrzmiałego znaczeniami symbolu.⁹

Kłeska Goszczyńskiego jako wieszczą Epoki Nowej to jednak dalszy etap w ewolucji towianistycznego słowa. W początkowej fazie ideałem było słowo–klucz, zrywające do wysiłku deszyfracji. Niech zaryją się

⁹ Tamże, t. 1, s. 612–615.

w ziemię — głoszone w Kole pod adresem potencjalnych odbiorców słów mistrza — a przegryzą się przez treści, jakimi ich obdarowano. Obserwatorzy i krytycy Koła ze złośliwą uciechą komentowali nie tylko słowotwórcze ekscesy towiańczyków, ale także sam sposób mówienia wyznawców mistrza. Raził on nawet samych uczniów, oczywiście o ile otrząsnęli się z bezkrytycznego zaślepienia. Goszczyński, wychodząc z cienia fanatyzmu, zaczął wypełniać swój dziennik tragikomicznymi obserwacjami o twarzach wyznawców wykrzywianych w jakichś dziwnych paroksyzmach, tikach i grymasach, pisał o wybałuszaniach oczu, osłupieniach, wyszczerzaniach zębów etc. A była to tylko „mowa” oblicza, do której dołączała ekspresja reszty ciała, jego zdumiewające *danse macabre*.

W tym tyleż żalonym, co śmiesznym przedstawieniu rozpadła się idea „mówienia całym sobą”, udziału ciała w emanacji spirytualnej prawdy. W założeniach człowiek–znak miał wzmacniać siłę skondensowanych słów, a mowa jako „wypływ uczuć” powinna wesprzeć się na emocjach buchających z twarzy, szaty, rąk. W praktyce afektowana teatralizacja zachowań rychło stała się negatywnym wyróżnikiem towiańczyków. Problem polegał na tym, że ekspresja mówienia „całym sobą” wyczerpywała się błyskawicznie. Pierwotnie wystarczyło, by — mówiąc metaforycznie — „krew uwięziona pod skórą, niedostępna dla wzroku słuchaczy”, na co żalił się Mickiewiczowski Konrad, wyległa na twarz apostołów. Towiańczyki tę skargę na niedostępność wewnętrznej prawdy potraktowali dosłownie. Rozpoczął się spektakl rumieńców: od tych bardziej „panieńskich” po purpurę apopleksji, która w nawracanych wzbudzała żywe uczucia lęku, iż staną się świadkami jakiejś zdrowotnej katastrofy. Ale gdy towiańczyki „krew” swą już na jaw wydali, stało się jasnym, iż to nie wystarczy. Krok za krokiem posuwali się członkowie Koła ku zachowaniom coraz bardziej ekspresyjnym, aż w końcu ich zgromadzenia musiały na postronnych sprawiać wrażenie spotkań obłąkańców, a przynajmniej ludzi w stanie ostrej hysterii. *Performance*, jakim stawała się istotna wypowiedź, sięgał po rekwizyty rodem z powieści gotyckiej: przysięgi na cmentarzu, posypywanie głów ziemią z grobu współwyznawcy, msze żałobne, podczas których kornie schyleni bracia modlili się za buntownika niczym za zmarłego. Bo choć żywsze — dla świata ducha był on już umarły.

Pismo towiańczyków

Tych możliwości ekspresji, którymi dysponowała wypowiedź ustna, nie miało rzecz jasna pismo. Toteż zarówno towiańczyki, jak i sam mistrz niechętnie ogłaszali swoje prace. Ujawniała się w tym

najlepiej ambiwalencja ich stosunku do słowa. Z jednej bowiem strony pokładali w nim nieograniczoną ufność, wierzyli, że odpowiednio użyte posiada moc nadzwyczajną. Ale dotyczyło to przede wszystkim słowa mówionego. Wobec pisanego żywili iście sokratejską podejrzliwość. Traktowali je jako „słowo półmartwe”, wyrażające zaledwie część treści i to tylko tych dostępnych rozumowi. Prawdziwą całość słowo tworzyło dopiero wraz z życiem.¹⁰

Być może Towiański — podsycający w uczniach przekonanie, że „biblioteki są smętarzami abstrakcji” — miałby chętkę na podpalenie owych „smętarzysk”. W praktyce jednak, skoro pragnął popularyzowania Sprawy, nie tylko musiał pisać, ale czasami także ogłaszać swoje prace. Również towiańczycy w imieniu Koła publicznie obwieszczali swoje stanowisko. Te wystąpienia przynosiły w efekcie nie tylko masę nieporozumień, ale wprost skandali.

Jeden z nich wiązał się z opublikowaniem pisma: *Powody dla których amnestia przyjętą być nie może*. Gdy tekst stał się znany, jego sygnatariusze, między innymi Goszczyński, zostali oskarżeni o narodową zdradę. Potwornie rozgoryczony brat Seweryn poświęcił wówczas kilka uwag temu, jak powinny być odczytywane ich pisma, by nie dochodziło do tak opacznego rozumienia intencji.

Przed wszystkim — pisał — te wypowiedzi mogą być „właściwie odczytane tylko ze stanowiska jakiego są wyrazem”. Oznaczało to, że ktoś, kto nie przyjmie punktu widzenia uczniów mistrza Andrzeja, po prostu nie pojmie ich wystąpień. Goszczyński nie dostrzegał tu błędnego koła: pisma bowiem publikowano także po to, by przekonać opornych do swych racji. W istocie jednak było to możliwe tylko wtedy, gdy byli oni już nawróceni, tj. jeśli „stali na stanowisku jakiego pismo było wyrazem”.

Drażąc przyczyny nieporozumień, jakie wiązały się z wystąpieniami członków Koła, Goszczyński wcale nie wskazywał na specyficzny słownik czy gramatykę, które miałyby utrudniać rozumienie języka towiańczyków. Być może po prostu nawykł do dziwactwa używanych neologizmów i do okropieństw składni. A może, nie bez pewnej słuszności, uznał, że pojęcia zawsze można objaśnić przypisem, można też przedrzeć się przez pokracczne zdania. Problem związany z pismami towianistycznymi był głębszy i poważniejszy, i poeta tej powagi przed nami nie ukrywał. Chodziło bowiem o zupełnie odmienne pojęcie logiki i porządku tekstu. Goszczyński przyznawał, że nowy porządek, jaki kreują towianistyczne pisma, może wydawać się — rozpatrywany z zewnątrz — chaosem. Powtórzenia, pozorny brak związków zarówno na poziomie wynikania

¹⁰ Tamże, t. 2, s. 242.

zdań, jak i poszczególnych partii tekstu, pojedyncze sformułowania sprzeczne z myślą główną — to wszystko kłóciło się z tradycyjnymi wymogami stawianymi przed pisarzem i gwałciło ogólnie przyjęte normy. Jednakże istnieje — twierdził Goszczyński — zwornik tekstu, który bałagan zamienia w strukturę i unieważnia powyższe zarzuty. Jest nim prawda, ale nie ta, jaką możemy wydobywać z pojedynczych zdań i wyrażań, lecz prawda „ogólnego stanowiska”, z jakiego pisany jest tekst. Prawda miała więc pełnić rolę podobną do tej, jaką — przykładowo — grała wyobraźnia u Coleridge’a: była siłą integrującą, zdolną spoić, stopić, zrównoważyć i pogodzić ze sobą oddzielne, często nawet przeciwstawne, zdania i partie tekstu. W ten sposób powstawała jego jedność — niedostępna dla krytyki, która zawsze widzi tylko części, a nie dostrzega całości zespolonej niewidocznym lepiszczem.¹¹

Można więc — taki wniosek płynął z wynurzeń Goszczyńskiego — gwałcić tradycyjne zasady logiki. Niezależnie od tego, jak tekst jest napisany, będzie on zawsze prawdziwy, jeśli takie są jego korzenie, jego „grunt”. Prawdzie nie przeszkodzi nawet forma siermiężna czy zaniedbana — takie pouczenia otrzymywał Goszczyński również jako Wieszczy Epoki Nowej. Konkluzja wynikała stąd prosta: można pozwolić sobie na abnegację językową, jeśli tylko stoimy na właściwym stanowisku. Ludzie, żalił się Towiański, zawsze zaniedbywali „co” dla „jak”.

Po raz kolejny więc towiańczycy, a raczej ich mistrz, okazywali się niekonsekwentni. Bo z jednej strony nurtowało ich pragnienie stworzenia nowego języka, wywołania rewolucji mowy, z drugiej zaś nie mieli w istocie motywacji, by urzeczywistniać swe marzenia. Po cóż dbać o zrozumiałość słów i zdań, skoro świecąca z nich prawda i tak dotrze do tych, którzy jej zapagną.

W istocie więc za szukaniem nowego języka tkwiło przeświadczenie, że najlepszy jest jego brak. Pytanie, cóż znaczy ten czy inny termin ze słownika mistrza, dlaczego zmienia się jego sens, dlaczego definicje pozostają nieostre, niejasne — w perspektywie towianistycznej wydawało się małoduszna, zoilowska złośliwością. Wyrażała się w tym chęć sprawdzenia języka Towiańskiego na poziom zwykłego użycia słów. A on tego nie chciał. „Nagą prawdę” lepiej wyrazi duch, płomień na twarzy, kometa na niebie, niż jakiegokolwiek słowo. Zawsze ciasne, zawsze półmartwe.

Prawda–władza, zdania–schematy

Doniosły, a zwykle pomijany, wpływ wywarł na ewolucję języka towiańczyków ich spór z księżmi z zakonu zmartwych-

¹¹ Tamże, t. 1, s. 590, t. 2, s. 242.

wstańców. W bezpardonowej walce, w której zmartwychwstańcy coraz to zdobywali nowe punkty, zmuszające przeciwnika do rozpaczliwej obrony, stawką nie była palma pierwszeństwa w teologicznej dyspucie. Towiańczycy najdosłowniej walczyli o przetrwanie, zagrożeni ekskomuniką i wyklęciem. Gdyby doszło do oficjalnego wykluczenia z Kościoła, ich los na emigracji, i tak ciężki, stałby się niemożliwy do zniesienia. To starcie stało się pojedyńkiem dwu języków, dwu sposobów myślenia, ujawniającym nieprzystawalność towianistycznej nowej mowy do tradycyjnego dyskursu. Zmartwychwstańcy przy pomocy logicznych, może zresztą raczej sofistycznych wywodów, uzasadniali prawomocność władzy Kościoła katolickiego. Dla towiańczyków takie zatrudnienie umysłu było kolejnym dowodem zdegenerowania się życia duchowego, sformalizowania przeżycia religijnego. Oni nie uzasadniali swej prawdy, oni ją czuli, a z tego poczucia rodziło się przekonanie o własnej sile i pragnienie władzy należnej ich „jedynie prawdziwej” prawdzie. „Nikt nie dotknie się nas bezkarnie, nikt nas nie uniknie. Jesteśmy ogień nowej epoki chrześcijaństwa” — pisał Goszczyński. Taka samoświadomość nie wymagała dowodów, wystarczała jej Russowska wiara w instynktowność życia duchowego.

Uczniowie z uwielbieniem powtarzali sobie anegdotę, jak to jednego razu ze wsi Towiańskiego został wzięty w żołdacy pewien chłop. Mistrz poruszony jego niedolą miał wówczas rzec: „Jeśli czujesz, że to ja powinienem iść za ciebie — to powiedz, a pójdę”. Podobny sposób rozumowania stosowali towiańczycy wobec swoich krytyków i niedowiarków: „Jeśli czujesz się większym od mistrza, masz więcej prawdy od niego — powiedz, a On ci ustąpi miejsca, my zaś uwierzmy w ciebie”. To, że nikt nie chciał wejść w szranki podobnej rywalizacji, było dla uczniów Towiańskiego dostatecznym dowodem, że jednak racja jest przy mistrzu i tylko przez niepojęty opór zatwardziałyich grzeszników nie zostaje on przywódcą rzesz.

Budziło to ich gniew, ale nie osłabiało wiary w moc posiadanej prawdy. Ziemia musiała jej usłuchać, nawet jeśli, póki co, ludzie stawiali opór. W oczekiwaniu na karę, która zmusi upartych do posłuszeństwa, można było rozpocząć dzieło apostołowania z innego punktu. Bynajmniej nie metaforycznie, bo całkiem serio, Goszczyński pisał: „Może przyjdzie nam przemawiać do kamieni”.

Niewrażliwi na siłę tego czucia zmartwychwstańcy zastawiali przemyślnie pułapki, w które miały wpaść nieostrożne słowa mistrza i jego wyznawców, dając asumpt oskarżeniu o herezję. I chociaż towiańczycy wywijali się jak mogli — tłumacząc, przyciśnięci do muru, że przecież oni są ludźmi prostymi, nie znają się na teologii i nie o nią im chodzi, lecz o prawdę życia — to zmartwychwstańcy krok po kroku posuwali się naprzód.

Im bardziej nasilała się ta wojna, tym ostrożniejsi musieli być wyznawcy mistrza Andrzeja w swych wypowiedziach. Miało to zasadniczy wpływ na ewolucję ich nawyków językowych.

O ile pierwotnie nie ograniczano uczniów w dawaniu innym „idei” Towiańskiego, a jednocześnie w przyjmowaniu i propagowaniu nowej nauki kładziono nacisk na zrozumienie, o tyle z czasem prawa i priorytety zostały zmienione. „Idee” podlegały reglamentacji. Zamiast nich apostołowie mieli dawać nawracanym „całą moc własnej nadziei”. Posunięcie to pozwalało omijać teologiczne pułapki, a zarazem najskuteczniej reklamowało Sprawę, kusząc emigrantów zyskaniem tak pożądaną przez nich wiary w przyszłość.

Zaostrzenie rygorów odbiło się także na tłumaczeniu pism mistrza na języki obce. Nastąpił zakaz przekładania ich na francuski; decyzja o tyle słuszna, że język Towiańskiego w dosłownej translacji — a któż, może poza Mickiewiczem, miał prawo do innej — na logiczną, precyzyjną i poddaną silniejszym rygorom składniowym mowę Racine’a czy Woltera, stawał się po prostu niezrozumiały i śmieszny.

Mówcie jak najogólniej — zalecano — bo w szczegółach tkwi pokarm dla zła.¹² Takie postulaty prowadziły do drastycznego zubożenia wypowiedzi. Było to jednak samookaleczenie w znacznej mierze świadome i poczynione z ostrożności. Doszło do tego, że na pytania o Sprawę bracia mieli reagować podanymi im „zdaniem–schematami”. Zaczepli — pisał Goszczyński — odpowiadajmy: „Słowo wcielone dla Nowej Epoki jest na ziemi”.¹³

Również z troski o bezpieczeństwo Sprawy ograniczono objaśnianie nauk mistrza dawane wedle własnego ducha. Niby dalej Towiański powtarzał, że głosić można tylko to, co samemu się rozumie, bez tego zaś apostołstwo jest zamachem na wolność nawracanego, w praktyce jednak było inaczej.

Powtarzanie „własnymi słowy” zasłyszanych nauk, samodzielność wystąpień, niekontrolowane głoszenie „objawień” prowokowało kłopoty i kompromitacje. Zwłaszcza, że niemal każdy z uczniów aspirował do zdolności „proroczego wzroku”, każdy śnił, miewał iluminacje. Nie wszystkie z tych „objawień” można złożyć na karb podyktowanych ambicją oszustw. Choć i tak pewnie bywało. Ale rozmaite ćwiczenia, panujący w Kole nastrój faktycznie prowadziły do nadwrażliwości i przeczulenia: przebudzonemu o świcie Goszczyńskiemu, który poszedł do kuchni napić się wody, zdało się nagle, że w porannym śpiewie ptaków słyszy dźwięk trąb Sądu Ostatecznego.

¹² Tamże, t. 1, s. 248.

¹³ Tamże, s. 252.

Dla Mickiewicza najbardziej kłopotliwe było to, że ponadnaturalne poznanie bracia chcieli traktować jak zwykłą wiedzę. Nie rozumieli, że duch może powierzać swe sekrety w symbolicznym języku, a ten wymaga wysiłku i rozpracowania. Skoro ktoś wyśnił śmierć Czartoryskiego, to nie należało biec do kościoła i tam, po najbardziej tłumnej mszy, ogłaszać, że księżę umrze za trzy dni, jeśli nie nawróci się na towianizm. Takie historie, a niestety podobne się zdarzały, wywoływały śmiech i dostarczały przeciwnikom argumentów.

By ograniczyć te praktyki, coraz częściej nakazywano towiańczykom nie „rozumienie i interpretowanie”, lecz wierne „oddawanie” zasłyszanych nauk. Niczym papugi mieli powtarzać sformułowania, pojęcia, zdania. Operowali symbolami już nawet bez prób deszyfracji treści, za to ze sprawnością pamięciowego wyuczenia.

Suma tych zjawisk, zarówno wewnętrznych — wynikłych z obranej idei języka, jak i zewnętrznych — narzuconych koniecznością walki z przeciwnikami, przekształciła upragnioną nową mowę w nowomowę: zamknięty i dziwaczny system języka, regulowany potrzebami ideologii, używany z mechanicznym automatyzmem.

Jednak Goszczyński długo nie był świadom, iż bracia nie wiedzą, co mówią, a i on sam posługuje się niepojętym bełkotem. Przeciwnie — szacunek do języka mistrza wytrwale opierał się narastającemu krytycyzmowi poety. To, że w okresie apogeum swego sekciarstwa uważał, iż w przyszłości pisma Towiańskiego będą czytane tak jak Ewangelia, nawet nie dziwi. Ale wytrzeźwiał już z tego nastroju, wiele gorzkich słów napisał pod adresem Koła, a o pismach swego nauczyciela wciąż twierdził uparcie: „są piękne”.

Danuta Sosnowska

Zrazy po nelsonsku, czyli jak czytać „Lalkę”?

Studentów wybierających pozytywistyczne seminarium magisterskie wprowadzam nasamprzód w tajniki warsztatu badawczego historyka literatury tego okresu. Kiedy oświadczam, że wszystko zaczyna się od przeczytania utworu i zrozumienia jego tekstu, wybucha śmiech — profesor raczy żartować! Biorę tedy *Lalkę*, czytam fragment, prosząc, aby pukali w blat stołu, gdy czegoś nie będą rozumieć. Przy „radcy” i „subieckie” — pukania pojedyncze i nieśmiałe, przy „ajencie